

Doradzają zresztą nie tylko oni. Macak chciałby, aby kolekcja była możliwie pełna, wszechstronna, obiektywnie doskonała. Ale jak osiągnąć tę obiektywność? Sady krzyżują się, zderzają; ktoś, z kim bardzo się liczy odmawia wartości rzeźbom Śledzia, Chajca i Lurki; ktoś inny przeciwnie – w nich dostrzega znamiona prawdziwej sztuki, napięcie życia duchowego, lekce sobie ważąc setki bezdusznych figurek, niczym w swej istocie nie różniących się od zabawek z drewna. To też jest zrozumiałe – szacunek dla opinii specjalistów, ludzi wybitnie wrażliwych. Kolekcja jakby wyprzedza w tym okresie świadomość swego twórcy. Dopiero w następnym etapie ujawniają się prawdziwe preferencje zbieracza, nabiera pewności siebie – w końcu to kolekcja jego, dla niego i przez niego budowana. Wtedy też, w masie przedmiotów zaczynają błyszczeć te naprawdę ważne. Przystaje imponować wzrost liczbowy, narasta świadomość, że ilość wcale nie musi przechodzić w jakość. Przedmiotem dumy stają się dzieła wybitne.

W domu państwa Macaków wyróżniłbym przede wszystkim zestaw rzeźb Edwarda Sutora. Nie ma wielkich, bryłowatych, fantastycznych głów – ale ten brak rekompensują średnie i małe figurki, świetnie dobrane. Doskonały jest zestaw dzieł Heródka, Ludwika Więcka, Marii Wnek, Katarzyny Gawel. Jest kilka rzeźb Leona Kudły, wśród nich (piękna!) dziewczyna z ptakiem na wyciągniętej dłoni, jedna z najwcześniejszych prac artysty. Ekspresyjne rzeźby Romana Śledzia, artyści bardzo wysoko ocenianego w Niemczech, ale u nas niedocenianego – tak dalece odbiega od potocznych oczekiwań. Dobry jest zestaw Nikifora, Monsiela, Zagajewskiego, Jędrzeja Wowry, Stanisława Miki, Janasa, Hołdy, Muchy. (Z pozycji wybitnych – niewiele rzeźb Lurki. Słabszy jest Chajec i Szczypawka-Gołębiewska). Cenny, piękny zestaw ptaków, zabawek z drewna, w tym emausowych „Żydów”.

Z dawnej sztuki obrazy z XVIII i XIX w. Matki Boskiej Częstochowskiej, Gidelskiej, z La Salette. Nieprzeciętnej urody Święta Rodzina. Doskonały dobór rzeźb: różne wersje Chrystusa Frasobliwego, Ukrzyżowań. Fragmenty z ołtarzy łemkowskich cerkiewek. To, czego nie mają muzea – setka oleodruków zbieranych we wsiach. Drzeworyty: z Płazowa, Wowry.

Zbiór uzupełniają ludowe skrzynie, szafy. W nich około 130 wycinanek 26 autorek. Dokumentacja w trakcie opracowania. Gotowe ok. 350 opisów.

Leszek Macak zbiera ekspozycje, ale podobnie jak to miało miejs-



ce z Zimmererem, czy Bolesławem Nawrockim, ważne są spotkania z twórcami. Poznał ich wielu. Niektórzy z nich, to ludzie o niezwykłej osobowości, ciekawsi nawet dzieła ich rąk (np. Piotr Kwit). Z wieloma twórcami Leszek zaprzyjaźnił się, jeździ do nich, zaprasza do siebie. Ostatnio u niego twórca pięknych ptaszków z drewna – Zachura. Macak bardzo go ceni, zawiązał nawet sporo jego ptaków swemu dawnemu szefowi w Stanach. Surowy ten, niezdolny uśmiechu człowiek, zobaczył kiedyś u Macaka ptaszki pod sufitem, no i teraz ma je sam w swym biurze. Trzepoczą poruszone powiewem powietrza z Air Condition. (Poczekajcie! myślałem klienci. Ptaszki sobie powiesi!).

A Zachura, to nie tylko ptaszki, lecz i los człowieka, z nim związany. W czasie okupacji Niemcy wzięli go do kamieniołomów. Warunki były straszne, ludzie umierali – jeden drugim. Niemiec – nadzorca zobaczył, a było to tuż przed Bożym Narodzeniem, że Zachura struga sobie ptaszka. A skąd kę umiesz zrobić? zapytał. Zachura wyrzeźbił, jedną, drugą, No i zwolniono go z tego kamieniołomu. Ocalił życie. Ptaszki mu je ocaliły.

Kiedy w kolekcji Macaka przypatruję się rzeźbom i obrazom wiszącym wszędzie ptaszkom, zastanawiam się na tym, jak wielkie talenty drzemają w ludziach, i jak mało trzeba (czasem jednego impulsu), by mogły z całą siłą wybuchnąć. Oglądając wspaniałe rzeźby Sutora, Heródka, Zagajewskiego, Hołdy, wierzyć? Książdz Nitka na wszelki wypadek starą wziął do siebie. Łodziński, jak obiecał, nową kapliczkę przywiózł. Zawiesił na drzewie. Trochę się zmartwił, że starej nie ma, ale nową dał. Pieniądzy żadnych za nią nie chciał. To już wydało się ludziom bardzo podejrzane. Niepojęte.

Sprawę wyjaśniłem, no i zapomniałem o kupcu z Krakowa. Tym bardziej, że podobnych spraw, z donosów zrodzonych, było więcej. Choćby taka, gdy powiadomił mnie wyższy urzędnik resortu kultury, iż w Szwajcarii doktor Nawrocki handluje rzeźbami. Rzeczywiście, działał w Szwajcarii i zajmował się – także – rzeźbami, tyle, że wygłaszał o nich odczyty w najświetniejszych gremiach i pokazywał je na wystawach.

Ale wracam do Holendrów, Gawłowej i Łodzińskiego. Przy pierwszej nadarżającej się okazji pojechałem do Krakowa, aby z nim się zobaczyć. Zawiązał mnie do Gawłowej, wręczył 10 kaset z rozmowami, jakie z nią nagrał, pokazał obrazy, zgromadzone u siebie w domu, a ponieważ robiliśmy wówczas z Zofią Bisiakową wystawę sztuki nieprofesjonalnej w ramach Dni Krakowa (1978), dał na tę wystawę doskonały zestaw prac.

Od tamtego czasu, kiedy przyjeżdżałem do Krakowa, pierwsze kroki kierowałem do Sukiennic. Kram Jacka wyróżniał się zdecydowanie, zwłaszcza dzięki rzeźbom, które go dekorowały. Rzeźby były świetne. Jednak, kiedy pewien Niemiec nie mógł oczu oderwać od *Chrystusa na łodzi* Adama Zegadły, i nie odchodził mimo kilkakrotnych zapewnień, że rzeźba jest nie do sprzedania, Łodziński zapytał, co go tak w tej rzeźbie zainteresowało. Należę do ludzi, którzy wierzą – odpowiedział – iż Pan Bóg przychodzi z wody. Zamykano kramy, a on jeszcze stał i patrzył. Wtedy Jacek zdjął z półki Zegadłę i dał mu. To rzeźba nie do sprzedania, więc tylko dać ją Panu mogę, powiedział.

Ale i z dawaniem były kłopoty. Przyjechał kanclerz Niemiec, Schmidt. Kramy pięknie wypucowano, gość zainteresował się stoiskiem Łodzińskiego; postanowiono więc dać mu rzeźbę *Adama i Ewy*. Jacek przyniósł najładniejszą z tych które miał w domu i ofiarował gościowi. Ale władze nie chciały prezentów. Pieniądże przekazano, przez muzeum, ale dyrektor wpłacił je do Urzędu Skarbowego, i po 2 latach Łodziński dostał wezwanie do zapłacenia podatku i kary za nielegalnie prowadzoną pracownię rzeźby (!!!).

PRZYPISY

¹ Aleksander Jackowski, *Ludwig Zimmerer i jego kolekcja*, PSL 1975, nr 1/2; *Ludwig Zimmerer o swojej kolekcji*, PSL 1971, nr 1/2

² Wojciech Siemieniowski, *Pamiętnik spotkań*, PSL 1975, nr 1/2

Jacek Łodziński

Aleksander Jackowski

Był słotny dzień jesienny. Czekałem na Ludwiga Zimmerera przed jego willą. Nie przychodził, za to przyjechali dwaj Holendrzy. Podnieceni, kupili w Krakowie „fantastyczne” obrazy. Pytam – czyje? Gawłowa. Nie słyszałem. Pokazują. Radosne, ludowe do szpiku kości, a przytym poza tradycją. Gdzie mieszka – pytam. Za Krakowem, zawiązał ich do niej właściciel kramu w Sukiennicach. Bardzo, bardzo dziwny człowiek. Grosza od nich nie wziął, jeszcze się cieszył, gdy płacili malarce. Pokazują wizytówkę, wymówić nazwiska nie mogą. Czytam: Jacek Łodziński.

Przypominam sobie. Był kiedyś w Instytucie. Niewielkiego wzrostu, zdenerwowany, zaciął się mówiąc. Przyszedł prosić o pomoc, chciano mu odebrać koncesję. Chodziło o donos, sprawę kapliczki koło Paszyna. Mówiono, że ją ukradł, zdjął, przehandlował, zrobił, zawiesił. O co tu chodzi? Wyjaśniłem. Łodziński przejeżdżał, widział starą, już rozpadającą się kapliczkę, więc uznał, że trzeba w jej miejsce dać podobną; nie czekał aż ją spalą a drzewo zetną. Pomówił z ludźmi, sfotografował, obiecał że przywiezie nową. A bo można takiemu wierzyć? Książdz Nitka na wszelki wypadek starą wziął do siebie. Łodziński, jak obiecał, nową kapliczkę przywiózł. Zawiesił na drzewie. Trochę się zmartwił, że starej nie ma, ale nową dał. Pieniądzy żadnych za nią nie chciał. To już wydało się ludziom bardzo podejrzane. Niepojęte.

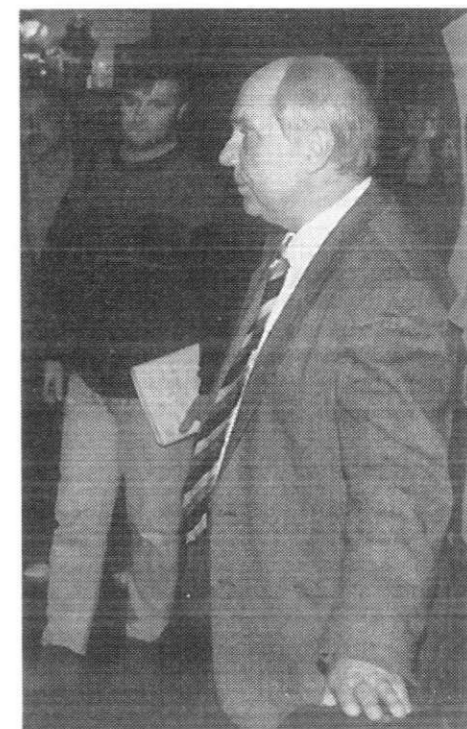
Sprawę wyjaśniłem, no i zapomniałem o kupcu z Krakowa. Tym bardziej, że podobnych spraw, z donosów zrodzonych, było więcej. Choćby taka, gdy powiadomił mnie wyższy urzędnik resortu kultury, iż w Szwajcarii doktor Nawrocki handluje rzeźbami. Rzeczywiście, działał w Szwajcarii i zajmował się – także – rzeźbami, tyle, że wygłaszał o nich odczyty w najświetniejszych gremiach i pokazywał je na wystawach.

Ale wracam do Holendrów, Gawłowej i Łodzińskiego. Przy pierwszej nadarżającej się okazji pojechałem do Krakowa, aby z nim się zobaczyć. Zawiązał mnie do Gawłowej, wręczył 10 kaset z rozmowami, jakie z nią nagrał, pokazał obrazy, zgromadzone u siebie w domu, a ponieważ robiliśmy wówczas z Zofią Bisiakową wystawę sztuki nieprofesjonalnej w ramach Dni Krakowa (1978), dał na tę wystawę doskonały zestaw prac.

Od tamtego czasu, kiedy przyjeżdżałem do Krakowa, pierwsze kroki kierowałem do Sukiennic. Kram Jacka wyróżniał się zdecydowanie, zwłaszcza dzięki rzeźbom, które go dekorowały. Rzeźby były świetne. Jednak, kiedy pewien Niemiec nie mógł oczu oderwać od *Chrystusa na łodzi* Adama Zegadły, i nie odchodził mimo kilkakrotnych zapewnień, że rzeźba jest nie do sprzedania, Łodziński zapytał, co go tak w tej rzeźbie zainteresowało. Należę do ludzi, którzy wierzą – odpowiedział – iż Pan Bóg przychodzi z wody. Zamykano kramy, a on jeszcze stał i patrzył. Wtedy Jacek zdjął z półki Zegadłę i dał mu. To rzeźba nie do sprzedania, więc tylko dać ją Panu mogę, powiedział.

Ale i z dawaniem były kłopoty. Przyjechał kanclerz Niemiec, Schmidt. Kramy pięknie wypucowano, gość zainteresował się stoiskiem Łodzińskiego; postanowiono więc dać mu rzeźbę *Adama i Ewy*. Jacek przyniósł najładniejszą z tych które miał w domu i ofiarował gościowi. Ale władze nie chciały prezentów. Pieniądże przekazano, przez muzeum, ale dyrektor wpłacił je do Urzędu Skarbowego, i po 2 latach Łodziński dostał wezwanie do zapłacenia podatku i kary za nielegalnie prowadzoną pracownię rzeźby (!!!).

Kiedyś przyjechałem do Krakowa wściekły. Właśnie ukazał się numer „Polskiej Sztuki Ludowej” poświęcony kulturze żydowskiej. Jeszcze nie było wtedy mody na tę tematykę, numer (1989/1–2) w którego realizację włożyłem wiele trudu, uważałem za niezwykle ważny, i to z wielu powodów. Ale okazało się, że dyrektor „Ossolineum” we Wrocławiu, nie porozumiewając się ani ze mną, ani z dyrektorem Instytutu, kazał drukarni zmniejszyć nakład o ponad tysiąc egzemplarzy, tak by numer



dotarł jedynie do prenumeratorów. Nie muszę wyjaśniać, jak mnie to zdenerwowało. Oczywiście od razu powiedziałem o tym Jackowi. Zamrugnął powiekami i spokojnie zapytał, czy można zrobić dodruk? Nie wiem, odpowiedziałem, a zresztą skąd weźmiesz pieniądze. Dzwono! – poprosił, zapytał o wszystko. Dodruk mogli zrobić, miało to kosztować 10 milionów. Jacek kiwnął głową – każ robić. Zwitek banknotów wsadził mi do kieszeni. I tak stałem się przestępcą, wydrukowałem 2.000 egzemplarzy bez zgody wydawcy, bez podatku. Napisałem do „Ossolineum”, że od tej chwili sami będziemy wydawać pismo.

Był to już okres przemian, wielkich nadziei. Zelżał gorset zakazów. Łodziński kupił kompletnie zrujnowany dom przy ulicy Solskiego, a właściwie półtora domu. Zachwyciły go piwnice, czternastowieczne. Za namową Andrzeja Majewskiego, wspaniałego scenografa, w dawnym warsztacie urządził galerię sztuki naiwnej. Lokal (to też był pomysł Majewskiego) nazwał *Camelot*. Na inaugurację urządzili wystawę sztuki żydowskiej. To był majstersztyk scenograficzny. Na środku sali stał wóz, wyładowany po brzegi rupieciami, tobołami. Wóz Żyda – Wiecznego Tułacza. Przyprószony bielą symbolizował los narodu. W piwnicy wyeksponowano ocalone macewy, wydobyte z błotnistej drogi do PGR przez Andrzeja Toborowicza, (kupowane za pół flaszki każda), w salkach rzeźby Żydów, tegoż Toborowicza. Wystawę otwierałem razem z Piotrem Skrzyneckim. Grał skrzypek z Piwnicy pod Baranami, podskakiwał (bo mały) i śpiewał żydowskie niguny Antoni Pilch, a w odwodzie czekało kilku górali z ciupażkami „na wszelki wypadek”. Zrobiliśmy też promocję „Żydowskiego” numeru. Kraków zdumiał się plakatem – adres galerii wyprzedził oficjalne decyzje Magistratu, Jacek podał dawną nazwę ulicy – św. Tomasza. I tak zostało. Nazwę wkrótce przywrócono.

Tam, w piwnicy, przy grzaniem miodzie i znakomitym „ekologicznym” jedzeniu, miałem ostatnio promocję książki *Sztuka zwana naiwną*, tam odbyła się narada zorganizowana przez Centrum Animacji Kultury, w której instruktorzy i działacze dyskutowali na temat sytuacji sztuki ludowej. Gości podejmował śniadaniem, w przygotowywanej do otwarcia winiarni, Jacek Łodziński.

W tym czasie do Sukiennic zaglądał już rzadko, urządził, wykorzystując materiał z rozbiórki starych chałup, stare kapliczki, drewno i wiklinę – sklep sportowy „Olimp”. Obok winiarni (pięknej!) ma znany w Krakowie sklep z „ekologiczną” żywnością „Pod Aniołami”. Byliśmy pod wrażeniem scenarii, zarówno „Olimpu” jak i winiarni. Łodziński zaufał

swojej wrażliwości, zrobił to, co etnografów starego chowu mogłoby zbulwersować, połączył szkło z drewnem i wikliną, ludowe naczynia gliniane ze starymi beczkami, wschodnimi kobiercami na ścianie, włoską ceramiką. Stworzył nową jakość, zaskakującą w swej harmonii, dającą poczucie autentyczności.

*

Ciągle jest w ruchu, nerwowy, realizuje nowe pomysły, ubolewa, że nie starcza mu czasu na wyjazdy do ludowych twórców, a przecież każdy wyjazd to nie tylko powiększanie kolekcji, ale i Galerii Sztuki Naiwnej. Piękny to i dziwny sklep. Można go zwiedzać, ale gdy chcesz kupić obraz, czy rzeźbę a nawet ptaka, okazuje się, że nie są do sprzedania. Zdenerwowałem się, gdy sprzedawczyni trzeci, czy czwarty wskazany obiekt uznała za chroniony. To nic nie jest na sprzedaż? – Jak to nic, broniła się. Wiele rzeczy, tylko pan ciągle wybiera najlepsze.

To samo w Sukiennicach. Co piękniejsze rzeźby stanowiły jedynie dekorację. Trudno jak widać, łączyć usposobienie kolekcjonera z kupieckim. Następuje kolizja instynktów. Ale nie ma kolizji w działaniach na rzecz Krakowa, na rzecz kultury, także ludowej. Przecież subwencjonował powstanie książki o Paszynie, przez rok dając stypendium autorowi). Ciekawy człowiek.

*

Rozmowa:

Jak i dlaczego zainteresowałaś się, Jacka sztuką ludową?

Z obrzydzenia do obłudy w tym, co robiono, mówiono, pisano. Szukałem upustu, na wsi, w rozmowach z rzeźbiarzami. Byłem wtedy młodym kupcem, po studiach ekonomicznych. Pomagałem rodzicom, którzy prowadzili kram w Sukiennicach z ludowymi przedmiotami?

Ależ nie, to była galanteria. Może tylko trochę lepsza niż gdzie indziej. Jeździłem po towar do Warszawy. Wtedy zaglądałem na Stare Miasto, do sklepu Cepelii. Zobaczyłem tam kiedyś grupę rzeźb Adama Zegadły. Spodobała mi się jedna, ale pani, która te rzeźby pokazywała pokręciła głowę, zabrała mi ją z ręki i podała inną. Powiedziała: wiem, że się panu ta figurka napewno nie podoba, ale ona jest naprawdę bardzo dobra. Niech mi pan wierzy!

Jakbym ją widział! To była pani Zosia!

No i miała rację! Ta rzeźba przypomniała mi kapliczki, które widziałem na wsi w młodości.

To znaczy kiedy?

Urodziłem się w 1941 r. w Krakowie. W młodości całe miesiące spędzałem na wsi, w poszanowaniu tradycji, w szacunku dla chłopów. Kiedy w niedzielę szliśmy do kościoła, to dzieci zawsze boso. Buty się wkładało dopiero przed wejściem. A szła cała wataha, ze 20 chłopców i dziewcząt, ponieważ mama z ciotką brały na wakacje dzieci z całej rodziny, do tego jeszcze kilkoro sierot. Matka uważała, że czyste powietrze, to zdrowie i zwłaszcza mnie dobrze robi. W dzieciństwie bowiem ciężko odchorowałem przestach. Aby odczyć zbliżania się do ognia służąca wsadziła mi głowę do pieca! Przez kilka dni w ogóle nie mówiłem; potem zacząłem się okropnie jąkać. Matka uważała, że powinienem mieć dłuższe wakacje, i już w maju wyjeżdżaliśmy na wieś. Trzy dni pakowało się garnki do koszy z wikliny później jechało furmanką, rzadziej powozem – do Myślenic bądź Rabki. Stawaliśmy przy ozdobionych kwiatami kapliczkach, przejmował mnie wzruszeniem widok ludzi modlących się przed świętymi figurami. Później, gdy już studiowałem ekonomię pomagałem rodzicom prowadzić kram w Sukiennicach. Do momentu, bo to był dosłownie moment, wyrzucenia nas stamtąd. Wszło MHD. Wszystkie kramy upaństwowiono, nam dano sklep na Grodzkiej. Ale nie na długo, prywaciarzy tępią. Był to rok 1953. Przyszły ciężkie lata. Po „odwilży” w 1957 r. pozwolono nam wrócić do Sukiennic. Przez dobry rok nie stać nas było nawet na masło.

Czy już wtedy interesowałaś się sztuką ludową?

Ależ nie, podobało mi się to, co nowoczesne, żelazne krzeselka, tworzywo, szkło. Wprowadziłem je do domu, wbrew rodzicom, którym najwięcej żal było rzeczy, które powyrzucałem, a nawet poniszczyłem. Jakieś talerzyki miśnieńskie, piękne wzory cebulkowe. Nie dałem sobie wytłumaczyć, że są ładne.

Jak więc doszło do kontaktu ze sztuką ludową?

Mówiłem o tym jąkaniu. Strasznie mnie peszyło, dyskwalifikowało w towarzystwie. Musiałem to jakoś odreagować, więc zacząłem uprawiać taternictwo, wspinaczkę. Chodziłem na długie wycieczki, wtedy namiotu nie miałem, spało się na kocu w worku na mole. To mnie dowartościowywało, a przy tym zacząłem poznawać różnych ludzi, ludowych rzeźbiarzy. Zafascynowali mnie, taki Piotr Dymurski... robił i Chrystusa i Lenina, ale sprzedawał w dwóch różnych cenach. Jakbym mógł tyle samo za nich brać! – zarzekał się. Dodam, że za Lenina brał dużo mniej.

Ojca, rzeźby niepokoiły. Owszem, Chrobaka rozumiał, tam było dobre rzemiosło, ale te z wykrzywionymi buziąmi? Kto je kupi? dziwił się. Ale kupowali, turyści zagraniczni, kolekcjonerzy.

Dlaczego ja te rzeźby tak pchałem ludziom pod nos. Przypuszczam, że z przekory. Ty też jesteś przekorny, no nie? Zabraniano, tępią więc ja religijne motywy przemyciałem w świątkach... a plakat wystawy Gawłowej, po raz pierwszy pojawił się taki na ulicach – z Matką Boską. Zrobił go Janusz Trzebiatowski, a przyznasz, że pięknie.

Nie miał kłopotu z cenzurą?

– Miał! Co Pan tu przyniósł? zdziwiła się pani cenzor. Co to jest? Wniebowstąpienie?

– Dlatego tu jestem osobiście! uśmiechnął się rozbrajająco Janusz. Cenzorka roześmiała się i plakat puściła. Już się zresztą cały system kruszył. Przecież na wernisaż Gawłowej przyjechali nie tylko ludzie z Zielonki, ale i miejscowy ksiądz. Myślałem, że dyrektor Waligóra zemdleje, gdy go zobaczył. Do tego na wielkim stole zastawionym odpustowymi łakociami leżało kilkadziesiąt pierników z orłami w koronie! Sami je piekliśmy do połowy nocy. Teraz to się wydaje zabawne, ale wtedy odreagowywałem w ten sposób. Zawsze wiedzieliśmy, kiedy przyjdzie kontrola do kramu, i w zależności, skąd – szybko się chowało stojące na froncie świątki a na ich miejsce wypychało co innego! Zawsze były na podorędziu duże „estetyki” toczone krasnoludki, i gdy przychodzili kontrolerzy z Rady Narodowej, na nie się natykali. Dla innych wpychaliśmy figurki Frasnoliwego pomiędzy galanterię ze srebra. Zresztą było to połączenie bardzo piękne i wkrótce podpatrzyli je właściciele innych kramów. Oni uważnie się nam przyglądali, to mnie bawiło, ale i cieszyło. Gorzej z Cepelią. Dla niej byliśmy czarną owcą. Wszystko ich drażniło. To, że zaczęliśmy srebro łączyć z rzeźbą, to, że kupowano je u nas, nawet muzea. Postanowiono więc nas zniszczyć. Jak to możliwe, użalał się dyrektor na posiedzeniu Wojewódzkiego Komitetu Partii, by w centrum Krakowa działał prywaciarz. Wyrzucili nas z dnia na dzień, nawet bez wcześniejszego wymówienia. Później je dostałem. Powód wskazano prosty – kicz. Więc ja wysłałem 36 odwołań, do KC, do Ministerstwa, też do Ciebie. Na szczęście miałem fotografie i rachunki za sprzedane rzeczy z muzeów etnograficznych, w tym ze Szwecji. No i po 4 miesiącach wróciliśmy...

Cepelia nie mogła Cię lubić, wchodziłeś im w drogę. Przypomnij sobie historię z Malikiem, odebrałeś im dostawcę. Ja? Oni od tego Malika chcieli tylko żubry. By im je masowo

dostarczał, zawsze takie same. A on lubił i chciał rzeźbić coś innego. Dziewczyny, ułanów, tematy patriotyczne. Przyszedł do mnie, pokazuje żubry. Pytam, czy nie ma czegoś innego. Ma, wyjmuję zawstydzony, uczciwie dodaje, że tych rzeźb w Cepelii nie chciano. A były wspaniałe! To mu dałem dłuta, zachęciłem do pracy. Poczuł się artystą, i tak jak prawdziwy artysta przyprowadził sobie modelkę do pracowni. Nawet jej nie rozbierał, ale tam w Rybnej zawrzało, rodzina się na niego pogniewała, omal nie popełnił z tej złości największego głupstwa. Na szczęście przyjechałem, gdy tak siedział na strychu, pomstując, „Zemrę, zemrę na złość tym k...”

Dawniej jeździłeś do rzeźbiarzy, do Paszyna, a czy teraz nie ma już do kogo się udać?

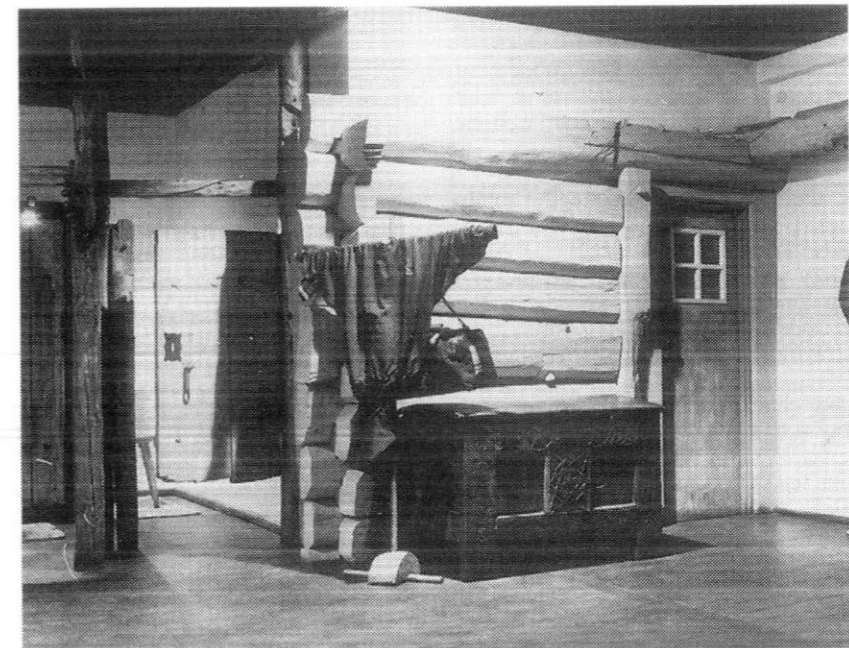
A no coraz z tym gorzej, bo to i dawni mistrzowie wymierają, a nowi... niewielu ciekawych, a może najważniejsze w tym – weszły w życie zarządzenia zabijające wszelką twórczość. Dobre może dla rzemiosła, dla dostawców masówek do Cepelii, ale nie dla autentycznych artystów. Chodzi o to, że rzeźba nie może być za droga, bo jej nikt nie kupi. Ale aby dostać zwolnienie z VAT-u trzeba udać się do Cepelii, dać na komisji wzór, zapłacić 300.000 dawnych złotych, no i po komisji odebrać decyzję. Tymczasem mój rzeźbiarz nie chce trzepać św. Franciszków, każdy w tej samej pozie, o identycznej wysokości, on chce teraz zrobić św. Antoniego, albo Matkę Boską, albo jakiegoś króla, no i na każdą nową, czy trochę inną rzeźbkę musi się starać o certyfikat. Jechać do Krakowa, czy Lublina, prosić, pisać podanie, a wiesz jak to lubią. Ciekaw jestem, czy Ministerstwo Kultury wie o tym zarządzeniu Ministra Finansów?

Wie, wie, to przecież z resortu kultury pochodzi ten wniosek. Po prostu nie pomyśleli o twórcach, dbając o czystość wzorów rękodzielniczych. Dobrze, że nie zdążyło to już dotknąć Gawłowej... Ale skoro mówimy o Gawłowej, jak ją odkryłeś?

To nie ja, to Mieczysław Górski ją odkrył. Poszukiwał w podkrakowskich wsiach skrzyni ludowych, no i zaszedł do pani Katarzyny. Skrzynia stała na glinianym klepisku, ale ważniejsze było to, co zobaczył na ścianie: namalowane Niebo. Powiedział o tym Stefanowi Dousie i mnie. Pojechaliśmy we trójkę. Gawłowa pielila marchewkę, z trudem, była stara, gruba, niedołączna. Zapytałem, ile za tę marchew zarobi? Dałem jej znacznie więcej, stałą pensję, aby zamiast się męczyć malowała. Była szczęśliwa. Obrazki kupowałem od niej, dowoziłem, przez długi czas codziennie – jedzenie, kartony, dyktę, farby. Kiedy przyjeżdżałem z ważnym gościem, zabierałem z domu już



Sklep „Olimp”
przy ulicy
Św. Tomasza



wcześniej kupione obrazy. Ona sprzedawała je drugi raz. Bawiło mnie to. Naprawdę, bardzo ją lubiłem. A kiedy wracałem z obrazami zahaczałem po drodze o muzeum i zostawiałem im, oczywiście w prezencie, kilka. Tak też robiłem wracając ze wsi od rzeźbiarzy, czy innych twórców.

Tak więc Gawłowa była u ciebie na pensji?

Ale ona była przekonana, że jej to państwo daje. Ministerstwo. To ją dowartościowywało, pojmujesz jaka dumna była z tego.

A kiedy kupiłeś tę rudę na św. Tomasza?

Rudera? Ona mnie zachwyciła. Cały ten zaulek jest taki romantyczny, czuje się w nim nawarstwienie czasu, wydarzeń. Nawet mi na myśl nie przyszło, że właściciel przez 10 lat szukał nabywcy, gotów to za grosze sprzedać. Przecież nie stać go było nawet na rozbiórkę. A ja, jak się dowiedziałem, że ją chcą burzyć, a właściciel gotów sprzedać, pojechałem do niego, kupiłem. Pewnie, że z tym masa kłopotów, skarbonka bez dna, powoli ją remontuje, najpierw piwnice (jedna jeszcze z kamienia wapiennego!) później ratowanie murów, podbijanie. Ale Andrzej Majewski zasugerował mi, żeby już teraz otworzyć w niej galerię sztuki naiwnej, a w piwnicy urządzać ciekawe imprezy. I już to wrosło w życie Krakowa.

Co zarabia na Twoje zainteresowania i działania?

„Skarbiec” i „Olimp” – sklep sportowy. Ten obok, w wynajętym lokalu. Zastanawialiśmy się z Basią [żoną], jak go urządzić. Mówili – wyrzuć tę klepkę drewnianą, ale dla mnie to było bardzo ważne, że ta klepka jest. Jedna z ostatnich w mieście. Ponieważ dawniej była tam rozlewnia soków i piwa, kofimi wjeżdżano do środka. Przeżyję, że coś się zniszczy, ale sam nie wyrzucę staroci, to nie w moim charakterze. Ta klepka nasunęła nam pomysł, by w urządzeniu sklepu wykorzystać belki, powałę, drzwi z chałupy, słomę, drzewo i glinę. Zaczęliśmy łączyć materiały naturalne ze szkłem, niklem, plastikiem. Basia wymyśliła przebieganie zamykane starymi drzwiami, powoli krok za krokiem urządzaliśmy to wnętrze. Trzeba go było czymś ogrzewać, pojawił się więc wielki piec z okapem, sęgi drewna na opał. Na ścianach powiesiłem najpiękniejsze stare kapliczki, jedną – słupową, postawiłem na środku. Lady kazałem zrobić z drewna. Nikt nie wierzył, że to się uda, połączenie „ekologii” ze sklepem i sportem. Ale ludzie zaczęli tu przychodzić, fotografują się na tle sklepu (zwykle tam stawiamy jakąś kolaskę, czy sanie), w jego wnętrzu. Jakoś to wspólnie żyje, różnokolorowe narty z plastikami, sportowa odzież, drewno ze starych chałup, strzecha, piec, kapliczki i plexiglas.

A winiarnia, sklep „Pod Aniotami”?

To też z przekory. Tu ci mówią – nie dawać alkoholu, to ja pomyślałem, właśnie zrobię winiarnię, ale z kulturą, wdziękiem. A w sklepie dam wino, a do niego dobre sery, wędliny. Przez rok sporo do tego sklepu dokładałem, ale teraz ma już swoją markę, klientelę. Udało mi się znaleźć piekarza, który robił chleb, tak jak dawniej, bez różnych chemicznych dodatków. Więc przywozi mi takie, jak przed wojną „kukielki”, tak się te bułki nazywały, rozkrawało się je na pół, wzdłuż, i wsadzało wędlinę. Okazuje się, że ciasto wyrabiane w dzieży ma inny smak, niż z metalowych mieszadeł. Tu wszystko się łączy, drzewo ma duże znaczenie. Wędlinę mam też taką, jak się niegdyś robiło, z Nowej Wsi Szlacheckiej.

Ocalasz „ginące zawody”?

Żebyś wiedział! Masarzy jest jeszcze wielu, ale piekarza z trudem, i przypadkiem znalazłem. Nigdy nie ukrywałem wynalezionych rzeźbiarzy, podawałem ich adres zainteresowanym, ale tego piekarza utrzymuję w tajemnicy, żeby mi go kto nie podkupił, nie zepsuł. To już chyba ostatni...

A teraz, gdy mam taki chleb, podplomyki, oscypki (nie fałszowane), sery, wędliny – to i lada musi być odpowiedzialna, cały wystrój. Stąd ta wspaniała szafa śląska, półka góralska.

No, a teraz pomyśl. Mam ten sklep, a pod nim cztery piwnice czternastowieczne. W jednej absolutna rzadkość, jedyny w Krakowie drewniany słup konstrukcyjny z przed 1300 roku. Dwie piwnice jak ustalił konserwator, z 1340 roku. Zawalone były gruzem, ale i fragmentami dawnego wyposażenia, naczyniami do picia miodu, bo kiedyś były tu miodosytnie. A i tokaj pewnie sprzedawali, może i piwo, bo były wówczas w powszechnym

użyciu. No to było dla mnie oczywiste, że trzeba tym piwnicom przywrócić życie, urządzić tak, by miały autentyczną atmosferę. Szanuję więc to, co jest, wprowadzam stoły, ławy, prze „moich” górali robione; beczki, w ostatniej chwili ocalone właśnie je rozbijano, przeznaczano na złom. Przypadkiem zatrzymałem na ulicy taki transport, kupiłem, kilka udało się wyremontować. Te gliniane dzbany, karafy, naczynia, które tam oglądasz, to z XVII wieku. Z całego świata je przywożę z Włoch, a te ciężkie z Meksyku. Przecież dawniej transportowano w nich oliwę, z Italii, Hiszpanii. Na ścianach chcę powiesić kobierce. Musi to być taki nastrój, żeby się nie czuł sztuczności, maskarady. Żaden Disneyland, ale poczucie, że tam być tu musi, że sprzęty, naczynia, dobre trunki – wszystko jest na właściwym, na swoim miejscu.

Powiedz mi jeszcze o twojej idei skansenu. Jest mi bardzo bliska, pisałem nawet o tym, że konieczne jest ożywienie skansenu, zdjęcie z nich tej potwornej martwoty. Ale prze stałem wierzyć, że to w państwowych muzeach się uda, dlatego tak bardzo bym pragnął, żebyś Ty to zrealizował, pokazał, że można, i jak można ocalić przeszłość, ożywiając ją i wprowadzając w nurt życia.

Miałem już wybrane miejsce, śliczną chałupę, tuż przy drodze, ale nie starcza mi środków na tę realizację. Szukałem innego miejsca. To musi być przy wielkiej arterii komunikacyjnej. Przeniosłem tam parę chałup. Zrobi się zajazd, jak dawny kilka pokoi noclegowych, świetną restaurację, obok kuźnię. Może będą tam koronczarki, może snycerze, rzeźbiarze. Żywy pokaz rękodzieła, praca dla wybitnych artystów, i sprzedaż, kontakt bezpośredni, rzeźbiarz-klient. To musi żyć, samofinansować się. Tak jak w Grinzingu, pod Wiedniem. Trochę jak w Sztokholmie. Zresztą wiesz to dobrze, byłeś przecież w takich miejscach na świecie. Tylko że u mnie to, co autentyczne, takim zostanie, oto bądź spokojny!



Winiarnia przy ul. Grodzkiej

Najdawniejsze pieśni taneczne

Tadeusz Peiper

Drogi Aleksandrze,

przeczytałem Peipera wywód o najdawniejszych pieśniach tanecznych z prawdziwą przyjemnością. To b. ciekawe świadectwo tego, ile i jakich refleksji może u poety, obdarzonego wyobraźnią i wrażliwością wywołać skromny tekst piosenki. O samej piosence jest tu bardzo mało (interpretacje symboliki wydają się trafne), natomiast dokument pewnego sposobu czytania, odbioru, interpretowania (hipotetycznego wielce i nie troszczącego się zbytnio o weryfikowalność) – to jest ciekawe. To przyczynek do tematu „folklor w odbiorze obcych”, obcych środowiskowo, ale życzliwie zainteresowanych i szukających inspiracji. Mających wrażliwość. Gdybyś się decydował to ogłosić sugerowałbym 1) pewne skróty, 2) wyeksponowanie historycznego charakteru tej wypowiedzi, 3) podkreślenie jakoś, że to dokument nie badań nad pieśnią ludową, lecz pewnego sposobu jej percypowania i komentowania.

Ściskam Twoją dłoń dobrze myśląc o Tobie (i piśmie)

Jerzy [Bartmiński]

Ob. Aleksander Jackowski

W sprawie mojego drugiego artykułu („Pieśń od Sandomierza”) bardzo proszę o pocztówkę: czy Pan artykuł otrzymał? czy zgadza się Pan na tytuł ogólny obu artykułów? czy artykuł poszedł już do drukarni, ewent. kiedy (w granicach przewidywań dopuszczalnych) może pójść do drukarni? Ostatnie pytania mają dać mi ważność o tyle, że chciałbym zrobić korektę, a we wrześniu wyjadę.

Pozdrawiam

Tadeusz Peiper

13 sierpnia 1952

Warszawa

Wołowska 82–86 m 124

Pieśń znad Warty

Nie chcę tego zabytku wyróżniać z góry słowami czci, a pragnąłbym przygotować czytelnika na zabytkowość czcigodną. Nie chcę z góry charakteryzować analizy, jaką przeprowadzę, a pragnąłbym nastroić czytelnika na cierpliwość. Jak wybrnąć z tego kłopotu?

Może wystarczy to, że go wyznałem. Może już dwoma zdaniem wstępu osiągnąłem tyle, ile bym osiągnął wstępem rozszerzonym. Chciałbym, żeby tak było. Czytelniku! zdobądź się na cierpliwość w poznawaniu niezwykłego okazu odległej dawności.

1. W zbiorze pieśni, wydanym w r. 1836 przez K. Wł. Wójcickiego, czytamy pieśń, o której autor zbioru napisał tylko tyle, że pochodzi znad Warty.

Przypisuje:

Ziele rozmara, parobcy,
ziele rozmara
Zaleca się w tej Luboni
lada niezdera.
A ziele ruta, parobcy,
a ziele ruta.
W tej Luboni parobczyńska
jeno ich buta.
Kiedy idą do taneczka,
to się chybają.
Czy od buty, czy od puchy,
czy w czubie mają.

Wystarczy zwrotki te przeczytać, by wyczuć ich starodawność. Wieje ona ku nam z mroków zalegających zdania niedokończonych, z ciemności związków między zdaniem a zdaniem, z zagadkowości połączeń między zwrotką a zwrotką, ze słów, w których obok starego *chybają się* widzimy zupełnie nowe *taniec, taneczek*.

A cóż ta starodawna pieśń znaczy? Jaka jest treść jej zwrotek? Jaka jest treść jej całości? W czym tkwi linia myślowa, wokół której przebiegają słowa?

Nie sposób odpowiedzieć na to inaczej, jak tylko przez szczegółowe i uważne rozpatrzenie tekstu.

2. *Ziele rozmara, parobcy, ziele rozmara... A ziele ruta, parobcy, a ziele ruta...*

Dziwna jest budowa tych zdań. Nie mają orzeczenia, ale brak ten nie jest tutaj taki, jaki znamy z innego rodzaju zdań bezorzeczeniowych. Czujemy tu coś z mowy pradażnej.

Wmyślmy się w te zdania i domyślajmy się. Dziewczęta, skierowując do chłopców śpiew o rozmarynie i rucie, nie kończyły zdań, bo zapewne zioła te chłopcom ukazywały. Dokończeniem zdania był ruch: powabne wzniesienie ramion i ukazywanie zioła trzymanego w ręce. Ten to ruch jest orzeczeniem zdania. Gdyby zdanie miało być pełne, brzmiałoby tak: oto mamy zioła rozmarynu, oto mamy zioła ruty, wznosimy je w górę, wznosimy je ku wam, patrzcie!

W czasach pradażnych i w czasach bardzo dawnych młodzieńcy dobrze wiedzieli, co oznaczał ów zaadresowany do nich